

Pokochoj siebie gorszego

AUTOR: ŁUKASZ MACIEJEWSKI

Mąż i żona Fredry to przede wszystkim popisowe role. Spektakl z Teatru Polonia, często na granicy aktorskiej szarży, ani razu tej granicy nie przekracza. Płynie swobodnie, dając widzom poczucie radości i artystycznej satysfakcji.

■ Polski teatr po pandemii wciąż szuka swojego oblicza. Nie ma jednej odpowiedzi, co podoba się dzisiaj widzom najbardziej, ale kiedy kilka miesięcy po premierze, w gorący letni już wieczór wychodziłem z Teatru Polonia po kolejnym spektaklu *Męża i żony* Fredry w reżyserii Krystyny Jandy i w gwiazdorskiej obsadzie, poczułem, i poczułem to bardzo wyraźnie, że rozpromieniona publiczność Polonii takiego właśnie teatru potrzebuje. Uciezki od doraźności, niegłupiego uśmiechu, perfekcyjnego aktorskiego warsztatu.

Mąż i żona, dramat Aleksandra Fredry, niby zgrany teatralny evergreen, wciąż jednak

zachwyca potocznością frazy, aktualnością psychologicznych niuansów. Fredro widział więcej. Dziewiętnastowieczne są kostiumy autorstwa Doroty Roqueplo, melodia archaicznego języka, celowo zresztą w spektaklu podbijana, ale już cały arsenał ludzkich słabości i namiętności wypada współcześnie. Wszystko się zmieniło, tylko człowiek nie bardzo. I może jest to nawet w jakimś stopniu po-krzepiające. Sztuka Fredry nie poddaje się uwspółcześnieniom, wyraźnie osadzona jest w epoce, efektowna i zabawna, daje również możliwość popisowych aktorskich kreacji: Marcin Hycnar, Małgorzata Kożuchowska,

Jędrzej Hycnar i Maria Dębska pod batutą Krystyny Jandy skwapliwie z tej szansy skorzystali.

Nie ma sensu doszukiwać się w tekście drugiego i trzeciego dna. Fredro zastosował najprostszy melodramatyczny schemat. Ich dwóch, one dwie. Flirty, intrygi, zdrady, błahostki, hipokryzja. Ludzie są grzeszni, mówi nam hrabia Fredro, ale te grzechy, grzeszki raczej, są właśnie ludzkie, do usprawiedliwienia, sprawa serio bywa zaś komedią. Tę tonację uchwyciła celnie Janda. A mając do dyspozycji tak ciekawych aktorów jak Kożuchowska czy Hycnar, zdała sobie sprawę, że zamiast fajer-

TEATR POLONIA
W WARSZAWIE

Mąż i żona
Aleksandra Fredry

reżyseria
Krystyna Janda
scenografia
Natalia Kitamikado
kostiumy
Dorota Roqueplo
reżyseria światła
Katarzyna Łuszczuk

premiera
7 maja 2022

Małgorzata
Kożuchowska (Elwira),
Jędrzej Hycnar
[Alfred]



werków inscenizacyjnych trzeba po prostu pozwolić im zagrać. I cieszyć się wzajemnym graniem. W ogóle się cieszyć.

Tam są przecież archipelagi autoironii. Elwira (Małgorzata Kozuchowska) wypłakuje się Alfredowi (Jędrzej Hycnar), że musi zdradzać z nim hrabiego (Marcin Hycnar), ponieważ do prawdy innego wyjścia nie ma, tenże z kolei zdradza hrabinę z Justysią (Maria Dębska) bez najmniejszych wyrzutów sumienia wszak, znowu, „innego wyjścia nie ma”. Nie zdradza nikogo chyba tylko kamerdyner (zabawna epizodyczna rola Tomasza Drabka), chociaż kto go tam wie. Śmiech – bohaterów, aktorów i widzów – jest zatem wspólny. I wyrozumiały.

Panowie – Marcin i Jędrzej Hycnarowie – wydłużają dźwięczne (wdzięczne również) przedniojęzykowe „ł” w nieskończoność, panie – Kozuchowska i Dębska – krygują się i przeдрzeżniają. Nie ma w tym jednak przesady. Reżyserka wiedziała, kiedy powiedzieć „stop” albo wzmocnić humorystyczny dialog. Spektakl, często na granicy aktorskiej szarży, ani razu tej granicy nie przekracza. Płynie swobodnie, dając widzom poczucie radości i artystycznej satysfakcji. Ta satysfakcja to przede wszystkim cudowna Fredrowska fraza: pisane jedenastozgłoskowcem monologi, dialogi zaś ósmiozgłoskowcem. Spektakl ma muzyczny rytm. Sztuka o zdradzie – w *Mężu i żonie* wszyscy zdradzają i każdy jest zdradzany, co nie prowadzi zresztą do jakichś szczególnych dramatów – staje się piosenką o zdradzie. Tak właśnie, piosenką. Balladą łotrzykowską o mężu, żonie, kochanku i kochance. Tam i z powrotem. Piszę o piosence nie dlatego, że Janda wyszykowała musical, co więcej, w przedstawieniu nie ma nawet muzyki oryginalnej – wykorzystano jedynie balet Moniuszki z drugiego aktu opery *Hrabina* oraz menuety Bacha. Nie ma muzyki, a jednak *Mąż i żona* w Polonii to właśnie muzyka. Spektakl ma melodię, jest do słuchania. Dzięki znakomicie dysponowanym aktorom fraza Fredry płynie niczym piosenka właśnie. Piosenka poetycka, pop, czasami rap. To wszystko jest dzisiaj u Fredry. To wszystko znajdziemy w przedstawieniu Jandy.

Krystyna Janda ceni i czuje Fredrę. Już w 1976 roku zagrała Anielę w *Ślubach panieńskich* w reżyserii Jana Świdorskiego w Teatrze Ateneum, poza tym tylko w ostatnich latach dwukrotnie reżyserowała sztuki Fredry w Teatrze Telewizji: w 2003 roku *Śluby panieńskie* (zagrała Dobrójską), a w 2015 *Damy i huzary* (wystąpiła w roli Orgonowej). W 2010

w Teatrze Polonia odbyła się premiera *Pana Jowialskiego* w reżyserii Anny Polony i Józefa Opalskiego – Krystyna Janda zagrała Szambelanową. Elwirą w *Mężu i żonie* była z kolei w 1993 roku, w spektaklu w reżyserii Krzysztofa Zaleskiego w Teatrze Powszechnym. Obsada była wtedy pyszna – Gajos, Janda, Żółkowska, Machalica, Lutkiewicz, ale recenzje średnie. Janda twierdzi, że tym razem jako reżyserka wyciągnęła wnioski z tamtej przygody, zrozumiała, że statyczny, retoryczny Fredro, którego proponował Zaleski, dzisiaj jest nie do obrony, adaptacja *Męża i żony* musi być fertyczna, ruchliwa, żwawa. Idąc za radą Tadeusza Boya-Żeleńskiego, który w *Obra-chunkach fredrowskich* pisał o *Mężu i żonie*, że to „komedia, której elegancji, dowcipu i cynizmu mogłyby pozazdrościć bulwary paryskie”, Krystyna Janda postawiła na żywioł zabawy. Oto Elwira, polegająca na szezlongu i stale kontrolująca, czy jest odpowiednio wyprostowana, albo Alfred wywijający niezbyt zgrabnie szpicrutą, Justysia zaś w kostiumie z dell’arte.

Nie ma w *Mężu i żonie* aluzji do współczesności, a w aktorstwie psychologizowania. Inny cel jest ważny. Widzowie zaproszeni do teatru powinni poczuć się współuczestnikami w zbrodni: podążać za dialogiem, za akcją, za Fredrą, ale niekoniecznie oceniać wybory postaci, nie czuć się zobowiązanymi do podważenia ich wyborów. Nawet jeżeli bohaterowie zachowują się nagannie, nie chodzi o moralizowanie, tylko o zabawę. Tymczasem aktorzy bawiąc nas, bawią również siebie.

Objawieniem *Męża i żony* w Polonii jest rola Marcina Hycnara. Waclawa grali najwięksi: Kreczmar, Matyjaszkiewicz, Zapasiewicz, Kopiczyński, Huk, Englert, Kamas, Wołłejko... Hycnar z sukcesem dołącza do tego grona. Jego Waclaw jest autentycznie zabawny, a przy tym jak trzeba krnąbrny, dosadny, rozkapryszony. W tej roli Hycnar ujawnia bogate doświadczenie pracy z mistrzami rzemiosła teatralnego, z Jerzym Jarockim na czele. Jak niewielu aktorów z jego pokolenia, doskonale czuje Fredrowską frazę. Wie, kiedy warto wzmocnić dialog, a kiedy odpuścić. Jestem

przekonany, że Andrzej Łapicki, najbardziej wytrwały popularyzator Fredry w polskim teatrze, byłby z Hycnara dumny.

Odkryciem *Męża i żony* jest również bezbłędna Małgorzata Kozuchowska w roli Elwiry. To popis warsztatowych możliwości aktorki, która w tego typu komediowych typach czuje się chyba najlepiej. Oglądając Elwirę, przypomniała mi się wybitna kreacja Kozuchowskiej z *Ich czworo* Zapolskiej w reżyserii Marcina Wrony w Teatrze Telewizji. Elwira – trochę jak Żona z *Ich czworo* – to zepsuta, leniwa, chociaż ponętna kobieta z ambicjami do ciekawszego życia, ale z intelektualną atrofią, niedającą jej szansy na rozwinięcie skrzydeł. Małgorzata Kozuchowska, grając Elwirę z rozmachem, nie obawiając się ostrego rysunku postaci, jakimś sobie tylko znanym sposobem ociepla wizerunek bohaterki. Ta kłamczuszka jest w końcu całkiem sympatyczna.

Justysia w wykonaniu Marii Dębskiej również kłamie jak z nut, ale mniej w tym popisie minoderii, więcej zabawy. Bawi się we flirtowanie, ma przecież świadomość, że stosunkowo najwięcej może przy tym stracić, najwięcej zyskać.

Szesnaście lat temu, w 2005 roku, Małgorzata Kozuchowska jako Lena partnerowała Marcinowi Hycnarowi w jego pierwszej prawdziwie wybitnej kreacji teatralnej – *Fuksa* w *Kosmosie* według Gombrowicza w reżyserii Jerzego Jarockiego w Teatrze Narodowym, w *Mężu i żonie* wprowadza do teatru kolejnego z klanu Hycnarów – Jędrzeja. Niedawny absolwent warszawskiej Akademii Teatralnej gra Alfreda ze zrozumieniem. Lekoduch i bon vivant, z rzadka ujawnia drugą, dosyć ponurą twarz młodego mężczyzny wliczającego niczym kupiec potencjalne zalety (merkantylne) i ułomności (fizyczne) kolejnych zauroczonych nim niewiast. Jędrzej Hycnar ma jednak tyle wdzięku, że i jego bohatera trudno w końcu nie polubić. Podobnie zresztą jak i samego przedstawienia. „Nie ludzie nami rządzą, lecz własne słabości” – pisał Fredro w *Mężu i żonie*. Pokochaj siebie gorszego – mówi nam tym przedstawieniem Krystyna Janda. Kochamy z wzajemnością. ■

Nie ma muzyki, a jednak *Mąż i żona* w Polonii to właśnie muzyka. Spektakl ma melodię, jest do słuchania. Dzięki znakomicie dysponowanym aktorom fraza Fredry płynie niczym piosenka właśnie. Piosenka poetycka, pop, czasami rap.